

Michał Śmielak
ZNACHOR



KRAKÓW 2021

PROLOG

Znał datę swojej śmierci z dokładnością do jednego dnia. Wiedział to nie dlatego, że był jasnowidzem lub planował na ten dzień samobójstwo, ale dlatego, że stał teraz nago na posadzce swojej stodoły, skrępowany, zakneblowany, z bolesnym przeczuciem zbliżającego się kresu. To dziś. Z ilu etapów by się nie składało życie, właśnie stanął oko w oko z tym ostatnim, całkowicie niewyczekiwanym i najmniej lubianym.

Zwisający ze stropu łańcuch był zakończony pętlą i nie wróżył niczego dobrego. Bądźmy szczerzy, w obecnym położeniu taki łańcuch zwiastował same nieprzyjemne rzeczy, z których śmierć niekoniecznie jest tą najgorszą opcją. Nie ma się co oszukiwać, bo kiedyż jest lepszy moment na bycie szczerym do bólu jak nie wtedy, gdy jest się obezwładnionym, związanym i niechybnie w rękach szaleńca?

Łańcuch był przyczepiony do belki stropowej jego własnej stodoły, integralnej części rancza, na którym do tej pory czuł się bardzo bezpiecznie. W końcu wydał na nie tyle kasy, że musiał się tutaj czuć jak u Pana Boga za piecem. Nie do końca legalnej kasy, ale pieniądź jest pieniądź. Gość od zabezpieczeń antywłamaniowych o nic nie pytał, tylko sprawnie przeliczył gotówkę i uściśnął mu rękę. „Obama ma gorsze zabezpieczenia”, powiedział na odchodne. Pewnie miał rację, był najlepszy w Polsce (i najdroższy).

A jednak... To nie Obama witał się tutaj ze śmiercią, tylko Adam.

Ktoś go obezwładnił i związał. Ostatnie, co pamiętał, to wiśniowy rogalik z bajecznie chrupiącą skórką, który pałaszował w swoim salonie. Śniadanie mistrzów. Potem czarna dziura. Żarcie dowoził catering, może mu czegoś dosypali? Dobierze się do skurwysynów, nie ma co. Tylko najpierw musi ogarnąć sytuację i wydostać się z tego szamba. Całość nie prezentowała się w jasnych barwach, pewnie nawet James Bond miałby nielichą zagwozdkę, jak zwycięsko wyjść z tej opresji. Ale Adam dorobił się właśnie na konsekwentnym działaniu, wyraźnie wytyczonych celach, do których dążył po trupach. Czy to nie aby zbyt dosłowne określenie? – zastanowił się przez chwilę.

Napastnik nie pozostawił mu zbyt dużej swobody, przywiązał go do jednego z dębowych filarów podtrzymujących strop pięknej budowli, bo pomimo plebejskiej nazwy stodoła była małym góralskim majstersztykiem. Mógł zatem stać, oddychać i patrzeć przed siebie, wprost na zwisający łańcuch. Wzbudzało to niepokój, co tu dużo gadać, co tu kryć. Na ów niepokój składało się wiele czynników, oprócz wyżej opisanych nadmienić należy, że łańcuch nie wyglądał jak pospolity przyrząd do ograniczania wolności hałaśliwym kundlom, co to to nie. Ktoś się musiał srodze namachać młotem, żeby wykuć każde, lekko kanciaste ogniwo. To coś wyszło spod ręki kowala, tego był pewien, i to kowala artysty, człowieka z duszą, pasją, talentem i odrobiną wolnego czasu. Ktoś tu się postarał. W dodatku żelastwo ledwo zauważalnie bujało się na

boki niczym popychane ową tajemniczą siłą z filmów grozy, napędzającą stare bujane fotele i skrzypiące huśtawki przed opuszczonymi domami.

– Czy wiesz, kim jestem?

Chrystusie Panie, o mało nie dostał zawału! Długą jak na jego wycucie czasu, może i godzinną, ciszę przerwał chropowaty głos. Ktoś stał za jego plecami.

– Wiesz? – ponownie zabrzmiało pytanie.

Adam chciał odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że nie ma bladego pojęcia i jednocześnie prosi o łaskę, litość i cokolwiek, byleby nie umierał tu i teraz. Problem jednak stanowił fakt, że w jego ustach tkwił ohydny knebel. Postanowił więc nawiązać choćby szczątkowy dialog z obcym, bo widocznie ten takowego oczekiwał. Głową mógł kręcić może na pięć centymetrów w każdą stronę, ale to chyba wystarczyło, aby odpowiedzieć przecząco. Nie, ni chuja nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia.

– Jestem sługą ludu, głosem sumienia zamienionym w krzyk sprawiedliwości – powiedział nieznamy spokojnym, lekko tylko tkniętym emocjami głosem.

No to już po mnie, pomyślał. Psychopata. Szajbus jak nic. Do tej chwili ludził się, że może ktoś to zrobił dla pieniędzy, a forsa to nie problem w jego przypadku, płacimy, ile pan sobie życzy, proszę nas tylko nie zabijać. Teraz na pierwszy plan wyszła koncepcja, że znęca się nad nim jakiś świr, ewentualnie mściciel. Możliwy także był koktajl psychola i mściciela, czemu nie, takie rzeczy się zdarzają. Gość widzi bogatego dupka mieszkającego w olbrzymiej willi, no tak nie może

być. Gdzie się podziały ideały socjalizmu i równości, co by na to powiedział Lenin, jak by to skomentował Marks? Takie myślenie prowadzi do nagłej i nieposkromionej chęci wyrównania różnic społecznych, zatem jesteśmy tu i teraz, wyrównujemy owe różnice przy pomocy łańcucha. Na szczęście nie było haka, może by chciał go powiesić za poślednie ziębro, jak urządzili Janosika – pewnie nie była to ani przyjemna, ani szybka śmierć.

Kolejna minuta szczerości, szanowni państwo. Tak, priorytety się zmieniły, jeszcze minutę temu chciał zwyczajnie przeżyć, teraz nie chciał umierać w bólu, krwi i szczynach. Życzenie proste, z chęcią by je przekazał, gdyby nie knebel. Miał ogólnie sporo do powiedzenia, całe mnóstwo rzeczy, w większości prośby, błagania i próby przekupstwa, jednak nie tylko knebel mu przeszkadzał, oprawca znowu przemówił:

– Jestem kimś, kto wykonuje wyroki, równając bogatych z biednymi, gdyż i jedni, i drudzy boso stają u wrót Pana.

Komuch i fanatyk religijny. To już chyba wołał poprzednią wersję: psychol łamane przez mściciel. Jeśli chodzi o religię, to nie można mówić o szajbie, to kalkulowana na zimno głupota mocno osadzona w realnym świecie. Tak uważał i nawet czerpał z tego korzyści, wiedział, ile ludzie są gotowi poświęcić w imię Boga, uwierzą w każdą brednię. Tutaj zdrowy rozsądek siada na kanapie i mówi: „Radź sobie, bracie, ja oglądam *Familiadę*”. Na nic pieniądze, fanatyka się nie przekupi. Może jednak szczerzy żal za grzechy i postanowienie poprawy? Może to zadziała? Okłamywał sam siebie, a miało być szczerze, bo kiedy jak nie teraz, tu, w tej chwili?

Zimny pot spłynął mu po plecach, bo żarty chyba się skończyły. Biorąc pod uwagę dzisiejsze zajście, to nikt tu nie żartował od dobrych kilku godzin, ale to już nie zakrawało na psikus czy wymuszenie. Jeśli ktoś mu chciał napędzić stracha, to robił to cholernie dobrze, czysta profeska, zawodowstwo. Zaraz umrze. To pewne.

– Na mnie spłynie grzech zabójstwa, jednak, tak jak moi poprzednicy, przyjmę go z godnością i pochyloną głową.

Robił wszystko, by nie łkać i – kontynuując łańcuch szczyrych wyznań (kiepskie określenie w obecnej sytuacji) – żeby się nie złać w spodnie. Było blisko, naprawdę blisko – coraz bliżej. Wszystko przez hipnotyzujący głos oprawcy, ten jeden na milion, który gwarantuje karierę w radiu lub telewizji. To dla niego ludzie każdego ranka, jadąc samochodem, szukają w radiu swojej rozgłośni, kiwają głowami, zgadzając się z nim w kwestiach polityki, śmieją się z kiepskich dowcipów i nie chcą słuchać nikogo innego podczas szarego początku dnia. Miękki, ale stanowczy głos mówi: „Dziś piękna pogoda na spacer”, a ty już widzisz siebie w Bieszczadach na słonecznej poloninie. Robił zatem wszystko, aby umrzeć z godnością, ale to i tak było zdecydowanie za mało. Zaczął łkać.

– Jesteś w o tyle lepszej sytuacji, że płacisz tylko za swoje grzechy, ja natomiast za wasze wszystkie. Gdybyś nie skalał się zabójstwem, ciebie by tu nie było, a ja bym spał spokojnie.

Hola, hola! Jakie zabójstwo? Szarpnął się z całej siły. Gdyby nie zatkałe usta, krzyknąłby głośno i wyraźnie: Jakie zabójstwo, co ty pierdolisz?! Miał niejedno na sumieniu, jego majątek nie został zdobyty do końca uczciwie. No dobrze,

miało być szczerze, nie zarobił uczciwie ani złotówki, ale żeby od razu morderstwo? Za to miał umrzeć? A raczej zdechnąć, bo przecież umiera się z godnością, a nie z oszczanymi portkami. Szarpnął się więc jeszcze raz, najmocniej, jak mógł, żeby całym sobą zaprotestować przeciwko temu, co tu się, do jasnej cholery, wyrabia.

Ciemność. Nagle w stodole zgasło światło. Zaczął głębiej oddychać i poczuł, że może za chwilę jeszcze bardziej się upokorzyć. Szczerze mówiąc, zaraz potwierdzi stare porzekadło, że można zesrać się ze strachu. Był pewien, że można. Drodzy widzowie, za moment Adam Kownacki przedstawi jedyny i niepodważalny dowód, że tchórz potrafi zesrać się ze strachu. Proszę przygotować aparaty i pilnować dzieci.

A może to ratunek, wybawienie, ktoś niespodziewanie przerwał tę farsę? Pojawi się trzeci aktor dramatu, wybawca, choćby przypadkowy, niezamierzony, bohater wbrew swej woli. Bogaty bohater, bo ozłoci gościa, co do tego nie miał wątpliwości.

Jednak to chyba nie to, nie ratunek. Ciemność rozdarł snop światła, w którym malowniczo zawirowały drobinki kurzu, swoisty taniec śmierci ku jego czci. Przypomniało mu się dzieciństwo, gdy oglądał z mamą bajki puszczone z rzutnika. Najbardziej lubił *Trzech Muszkieterów*, pamiętał jeden obrazek, jak d'Artagnan był rozbrajany przez złych gwardzystów kardynała. Bezbronny jak on w tej chwili.

Na ścianie przed nim pojawił się olbrzymi kwadrat światła. Jedno się zgadzało, to był rzutnik. O co tu chodziło, miał w końcu umierać czy żyć? Zlituj się, srogi losie, czy to jakaś wkręt-

ka? Może go nagrywają, a potem będzie niezła beka? Ale kto, jak, dlaczego, przecież nie miał przyjaciół, którzy mogliby mu urządzić przyjęcie niespodziankę...

Pierwszy slajd, jaki pojawił się na ścianie, przeraził go.

– Ania. Piętnaście lat. Uśmiecha się – odezwał się nieznamy, opisując to, co i tak Adam dobrze widział.

Znał tę dziewczynę. Uśmiech też. Pamiętał ją dokładnie, jej rodziców również, z opuchniętymi i sinymi oczami, pieczęcią nieprzespanych nocy. Tak właśnie, dokładnie tak się uśmiechnęła, kiedy wręczył jej do picia swój pierwszy koktajl. Rodzice także się cieszyli, a radość nie zniknęła z ich twarzy, nawet jak wręczali mu pieniądze, dużo pieniędzy.

– Chorowała na białaczkę. Jej rodzice zaciągnęli kredyt na czterdzieści tysięcy, aby kupić twoje cudowne mikstury.

I kupili. Ania umarła, oczywiście, że tak, ostatecznie to było końcowe stadium białaczki, cudów nie ma. Nie było nadziei, prosta sprawa, a kredytu nie musieli brać, wystarczyło, żeby sprzedali tę piękną terenówkę, którą przyjechali. Nie zapłacili mu tej kasy za uleczenie dziewczyny, przecież to jasne, on to wiedział, ona to wiedziała i oni też. Wystarczyło rozsądnie pomyśleć, tak bez emocji. Zapłacili za to, że i oni, i ta gówniara do ostatnich dni mieli nadzieję, że nie umierała w żalu, strachu i beznadziei. Nie można było jej uleczyć, ale dać kredyt z nadziei na te straszne ostatnie chwile – już tak. On go udzielił. W innym przypadku uśmiech by nie gościł do samego końca ani na jej, ani na ich twarzach. Przecież jej nie zabił.

Klik.

Kolejny slajd.

– Adam. Twój imiennik.

Cholera, jego też pamiętał. Mały zasraniec, chyba osiem lat. Dokuczliwy i pyskаты, mimo straszego stanu. Co mu tam było? Czerniak? Chyba czerniak. Ojciec też nie lepszy, pewnie kawał chuja, drogi garnitur, zadbane paznokcie, w przeciwieństwie do rodziców Ani zero śladów zmartwienia. Taki pan prezes, co to za kasę ma wszystko i którego dzieci nie chorują. No to dostał słoiczki za kupę prezesowskiej forsy.

– Twoje słoiczki z cudami nie pomogły. Ojciec Adasia rzucił się z mostu Świętokrzyskiego w Warszawie.

A to ci zaskoczenie. Niby taki Pan Garnitur, a tu proszę, coś tam w nim drzemało, jakieś uczucia. Ale zapewne prędzej fiknął z mostu, bo ktoś pierwszy raz w życiu zrobił go na dużą kasę. Może... Małego szkoda, fakt.

Klik.

– Aneta.

Zdjęcie przedstawiało rozbawioną blondynkę, może miała dwadzieścia pięć lat, może mniej. Próbowwała objąć dwóch bliźniaków, najwyżej pięciolatek. Ci jednak tak się wrywali, że chyba nie dała w końcu rady. Fotograf idealnie uchwycił moment ucieczki spod opiekuńczych matczynych ramion dwóch małych łobuzów, coś w stylu „na chwilę przed”. Anetę też pamiętał.

– Osierociła dwójkę dzieci. Wychowują się w domu dziecka. Mogły mieć własny dom, ale Anecie nie pomogły specyfiki kupione za pieniądze z jego sprzedaży. Chłopcy nazywali ją Mamutką. Po jej śmierci mąż rozpił się, a sąd odebrał mu maluchy i umieścił w ośrodku opiekuńczym.

Czy ją pamiętał? Owszem. Mało tego, przypominał sobie co chwilę kolejnych „pacjentów”, którzy skuszeni dobrą akcją marketingową, przychodzili do niego jako ostatniej deski ratunku. Jeśli ktoś był nieuleczalnie chory, kostucha już stała za rogiem, a lekarze rozkładali ręce – on pomagał. Ludzie przekazywali sobie wieści o tajemniczym specyfiku, który rzekomo stawia na nogi, przegania chorobę, niszczy raka, ratuje życie. Oczywiście, nie wszystkich, żeby nie było reklamacji, ale setki zadowolonych z kuracji biło się w piersi i zapewniało o cudownych efektach. Wystarczyło przeczesać internet i fora dotyczące uzdrowicieli, nic więcej. Rzecz jasna nie było łatwo się do niego dostać, należało trochę pogrzebać za informacjami, no, ale chodziło o to, że to usługa ekskluzywna. Nie dla każdego. I nie od każdego brał pieniądze. Biedakom nie robił nadziei, ale jak miałaś kasiorę, to mogłaś liczyć na słóiczek ze specyfikiem podobno czyniącym cuda. Tak mówiły „interne-ty”, bo tak serio to cesał na kasę każdego.

Dlaczego medycyna konwencjonalna owego środka nie stosowała? Przecież to spisek koncernów farmaceutycznych, w których interesie nie leży leczenie ludzi chorych na raka. NFZ już zadba o to, żebyś chorował jak najdłużej, jasna sprawa, każdy użytkownik forum ci to powie. Forum, które nie-małym staraniem stworzył i wypromował, aby być jak najbardziej wiarygodnym.

Klik.

Dorota.

Klik.

Weronika.

Klik.

Jasio.

– Mam pokazywać dalej?

Klik.

Klik.

Klik.

– Trzydzieści pięć osób.

Klik.

Klik.

Klik.

– Jesteś winny śmierci trzydziestu pięciu osób. Tyle naliczyłem.

Klik.

Oni i tak umierali. Nie mógł tego wykrzyknąć, a bardzo chciał. Oni i tak żegnali się z życiem, nic by im nie pomogło, a dzięki niemu nie umarli w poczuciu totalnej beznadziei. Takiej, w jakiej on teraz tkwił.

Nie popuścił w spodnie. Po prostu się popłakał.

– Zatem z punktu widzenia zwykłej ludzkiej moralności zasłużyłeś, aby zdechnąć jak bydło.

Mężczyzna zrobił krok i stanął przed nim, w smudze światła z rzutnika. Adam dalej nie widział jego twarzy. Zaskakujące, jak zmieniały się jego pragnienia – wiedząc, że zaraz umrze, pragnął już tylko, aby stało się to bezboleśnie, no i chciał zobaczyć twarz swego oprawcy. Tymczasem dłoń w rękawiczce przecięła promień światła, zmuszając pyłki kurzu do szalonego tańca, i pchnęła łańcuch.

– Tak kiedyś kończyli szarlatani. Wieszano ich na łańcuchu. Zwykły stryczek przerywa rdzeń kręgowy i umiera się

od razu, bezboleśnie. A nie o to chodziło. Nikt nie wierzył w brednie o resocjalizacji. Ludzie umierali z głodu każdego dnia, w takiej sytuacji nikt nie zamierzał żywić skazańca do końca jego dni. Ktoś, kto morduje, zasługuje na śmierć. Tylko i wyłącznie. Nie na ciepłą celę, siłownię i regularne posiłki. Chwasty się wrywa. Kwiaty pielęgnuje.

Mężczyzna podszedł do niego bliżej. Twarz nadal miał skrytą w cieniu.

– Dobry kat potrafił tak powiesić skazanego, że ten konał przez wiele godzin.

Błysnął nóż. Oprawca przeciął jego więzy, ale w niczym to nie pomogło, po prostu odpadły sznury, którymi był przywiązany do belki. Dalej nie mógł się ruszyć, miał ciasno skrępowane ręce i nogi. Został zarzucony na ramię jak worek ziemniaków i przeniesiony w pobliże łańcucha. Na szyi poczuł jego chłodny dotyk.

– Cała sztuka polega na tym, żeby umieścić skazańca kilka centymetrów nad podłogą, tak aby mógł stać na palcach. Jednak kiedy braknie mu sił... Gdy nogi ścierną, kiedy w końcu złapią go skurcze i już nie będzie mógł utrzymać się na palcach... Wiesz, łańcuch dokończy robotę. Pętla z łańcucha sama się nie zaciśnie. Proste. Skuteczne. Piękne! Takie powinno być prawo.

Pomimo tej całej sytuacji głos jego oprawcy skojarzył mu się z Krystyną Czubówną i programami edukacyjnymi. Jak to działa? Zaraz odpowiemy!

– Nogi cierną, tracisz siły, łańcuch napiera na krtań, brakuje ci powietrza. Spinasz się, walczysz o życie, myślisz, że

dasz radę, ale tak naprawdę toczysz bój jedynie o kilka kolejnych oddechów. W końcu organizm się poddaje, ucisk łańcucha jest coraz silniejszy, zaczynasz się dusić, dławić, tlen przestaje dopływać do mózgu. Ból jest nie do zniesienia. Uwierź mi, w tym momencie postanowisz się poddać, ale twój organizm na to nie pozwoli. Będziesz się dusił jeszcze kwadrans, cierpienie będzie wręcz nie do opisania. Aż wreszcie nastąpią ostatnie sekundy, przypominające porażenie prądem, jakby każda twoja komórka umierała osobno. Ból, który przerodzi się w błogi spokój. Tak się umiera na łańcuchu.

Wierzył w każde słowo. Już zaczynał się dusić.

– Tak robili najlepsi mistrzowie w katowskim fachu.

Łańcuch zaczął go powoli dławić, gdy czubki jego butów pierwszy raz lekko ślizgnęły się po podłodze.

– A ja jestem bardzo dobrym katem.

ROZDZIAŁ 1

Czubki butów, następnie sprane dżinsy, paznokcie, rękawy koszuli – no bo wypada ładnie wyglądać, szczególnie dzisiaj – komórka. Wzrok Krzyśka prześlizgiwał się zgodnie z wypracowanym w ciągu ostatnich miesięcy schematem. Nie chciał czytać, nie chciał niczego oglądać, pozostała mu rozrywka w postaci lustrowania samego siebie. Może i by posłuchał muzyki, no, ale jak założy słuchawki, to nie usłyszy, że go wywołują. To już lepiej zjednoczyć się z szumem poczekalni, przyjrzeć się po raz tysięczny tym samym ludziom, którzy zresztą przewijają się przez ten przybytek niczym wschody i zachody słońca. Zatrzymał wzrok na pierwszej lepszej twarzy, lekko pulchnej buzi Hani, którą mąż pieszczośliwie nazywał Hanulą. Oprócz używania uroczonego zdrobnienia mąż lubił także Hanulę walnąć akurat tym, co miał pod ręką. Raz trafił w nogę, już Hania nie pamięta czym, ale zrobił się potężny krwiak, no a teraz jest nowotwór. Pojawił się po dwudziestu latach od uderzenia i po sześciu od śmierci tego skurwysyna. To dobry chłop był, a jak szedł do ślubu, to nawet portek nie miał. Żonie za to pozostawił kredyt wzięty na grobowiec, raka oraz nerwicę. No i wspomnienie dwudziestu pięciu lat bicia, powrotów w oszczanych spodniach i domowych awantur. Takie historie poznaje się w poczekalni, bo ludzie się tu nudzą, a jak się nudzą, to gadają. O wszystkim.

– Grabowski!

W szmer głosów wdarł się krzyk pielęgniarki, wyprany z uczuć tak bardzo, że producenci pralek mogliby poczuć zazdrość.

Grabowski wstał, raz się uśmiechnął, a raz zasmucił – no bo fajnie, koniec czekania, ale też do dupy, ponieważ pozna diagnozę. Westchnął, zniknął za drzwiami. Klasycznymi, białymi, z kartką o treści: „Nie wchodzić bez wezwania”. Równie dobrze mógłby tu wisieć każdy inny napis, chociażby „Wejście karane wbiciem na pal”, bo ludzie i tak włązili na przekór kartce, na tak zwanego chama. Że niby „tylko zapytać”, a tak naprawdę podejmowali z góry skazaną na porażkę misję pod tytułem: „ominę kolejkę”. Jedyne, co na tym zyskiwali, to wrogość pozostałych bywalców. Specyfika poczekalni.

No i tu kolejna myśl. Czy każda szpitalna poczekalnia ma w standardzie ten nieuchwytny klimat zwątpienia pomieszanego z nadzieją, z dominującą nutą wkurwienia na NFZ? Tutaj czas się zatrzymywał, a problemy świata znikwały, niekiedy tylko odświeżane przez szeleszczące strony gazet czytanych przez zagubionych pacjentów. Czas stał w miejscu, bez dostępu światła słonecznego nie miało znaczenia, czy jest szósta rano, czy dziewiąta wieczorem, tak samo się siedziało, czekało i marudziło. Jak Polska długa i szeroka korytarze wypełnione małymi plastikowymi krzeselkami okupowali chorzy, przymusowi podróżnicy w czasie, istni łowcy przygód, którzy zamiast zamków oblegali gabinety lekarzy, a swe miecze w postaci skierowań wyciągali tylko w obliczu bestii żądającej od nich pełnej uległości – pani w rejestracji.

Ich wyprawy w nieznaną w krainie szpitalnych labiryntów były pełne niebezpieczeństw, pułapek, a tylko najwytrwalsi odchodzili dumnie, dzierżąc nagrodę: receptę, skierowanie lub zwolnienie. Jeśli nie potrafiłeś stać wciśnięty w kąt poczekalni sześć godzin w oczekiwaniu na swoją kolej, nie miałeś tu czego szukać. To nie zabawa dla niecierpliwych. Tutaj nie można sobie pozwolić na chwilę słabości, wizyta w toalecie mogła cię kosztować powrót na koniec kolejki albo, co gorsza, jej bezpowrotne opuszczenie. Pięć sekund szczęścia, gdy słyszysz swoje nazwisko zza uchylonych drzwi. Drugiej szansy nie będzie. Ostatnich gryzą psy. Najbardziej rozchwytywana gra planszowa w historii świata.

Nie inaczej było w poczekalni oddziału onkologicznego warszawskiego szpitala na Podgórznej. Elitarny szpital, elitarny oddział, nowe budynki, tynki, kolory, wielki świat. A ludzie mimo tych wydanych milionów tak samo jak przed remontem gadali, łazili, jedli kanapki, odkręcali termosy, płakali, dzwoniли do znajomych, czytali. Pierwszego dnia to byli ludzie – stłoczona i smutna masa, natomiast po kilku tygodniach to już byli „ludzie” – jednostki z twarzami i imionami, swoimi historiami, planami, traumami, marzeniami, lękami i własną porcją beznadziejności.

Obok Krzyśka dzisiaj akurat siedziała Kasia, mała dziewczynka z zadziornymi warkoczykami, która przychodziła tutaj z dziadkiem. Miała siedem lat, pozdzierane kolana i minę dumnego z siebie sapera, który właśnie przebiegł całe pole minowe na oczach kolegów i wygrał spory zakład. Jej dziadek miał galopującego raka płuc i płakał za każdym razem, gdy

przychodził bez Kasi; nie wyobrażał sobie życia bez wnuczki. Takie rzeczy się wie, bo w ciągu tygodni koczowania na korytarzach człowiek mimochodem poznaje wszystkich „bywałców”. Ludzie muszą i chcą się wygadać, Krzysiek wołał słuchać. Kasia natomiast była bezpośrednią dziewczynką i przysparzała dziadkowi wielu zmartwień, komentując szpitalne życie z właściwą dla dzieci bolesną szczerością.

– Dziadku, ta pani idzie jak zombie! – wykrzyknęła uradowana, wskazując palcem powłóczęką nogami staruszkę, a dziadek załamał ręce i począł strofować dziewczynkę. Krzysiek się roześmiał, bo faktycznie babcia zasuwiała korytarzem jak rasowy zombie, omiatała wzrokiem pacjentów w poszukiwaniu najsmaczniejszego mózgu.

– Uważaj, bo zje twój mózg! – Krzysiek złapał małą za warkoczyki i próbował wgrzyźć się w jej włosy. Ta piszczała i ze śmiechem uciekała.

– Dziadku, ja wiem, że nie ma zombie – powiedziała, gdy już się uspokoiła. – A jak już umrzesz, dziadku, to Pan Jezus cię wskrzesi? Bo tata mówi, że nie ma chuja, że dziadek na pewno się przekręci, a przekręci to znaczy umrze.

Dziadkowi Walentemu stanęły łzy w oczach, dlatego Krzysiek postanowił ratować sytuację.

– Powiedz tacie, że prędzej zobaczy zombie niż spadek – uśmiechnął się. – Zapamiętasz?

– Pewnie, Kysiu! – rzuciła Kasia. – Ale ty weź nie umieraj, co?

– Umrę i zostanę zombie, a potem będę cię odbierał ze szkoły. Chwycisz mnie za rękę, a ta odpadnie, potem złapię twoich kolegów i co zrobię?

– Mózgi! – krzyknęła mała.

– Tak jest! – Wstał i wyciągnął ręce przed siebie. – Idę szerzyć zarazę zombiel!

Dokądkolwiek miał się udać, by szerzyć zarazę, musiał odłożyć plany, bo usłyszał swoje nazwisko wyczytane przez pielęgniarkę.

– Szorca!

– Jest! – odpowiedział, żeby rozwiać wątpliwości reszty kolejkowiczów, żyjących nadzieją, że jednak Szorcy nie ma, a co za tym idzie, czas oczekiwania uległ skróceniu. Małe zwycięstwo w tej żmudnej walce z chorobą. Jednak nie dzisiaj, kochani, nie dzisiaj.

A to wszystko przez cwaniactwo. Nie słyszałby swojego nazwiska wykrzykiwanego przez bezduszną pigułę, gdyby nie zwykle cwaniactwo. Chytry dwa razy traci – tak mawiał jego dziadek. Coś w tym musiało być. Zemściło się, chociaż mnożnik w jego przypadku był o wiele większy niż przysłowiowe „dwa razy”. Zaczęło się niewinnie od piwa otwartego w złym towarzystwie.

Studencka impreza, dziesiąte piętro akademika, piwo i papierosy palone na klatce schodowej. Piwo Królewskie, bardzo dobre, bo tanie. Od słowa do słowa student trzeciego roku wyjawiał coraz to nowe tajniki życia uczelnianego, które okazywało się niezbyt lekkie i dość kiepsko usłane różami. Stałym tematem było sprzedawanie patentów na zaliczanie kolejnych egzaminów, szczególnie u profesora Krzemieńskiego, a to był, jak głosiła wieść studencka, zwykły kawał skurwysyna. Dziedzina: historia starożytna. Sposób: zapisać się do klubu

krwiodawcy i regularnie oddawać krew. „Parę litrów oddanej krwi i zobaczysz, że cię nie ujebie”, rzucił z miną świadcząca o całkowitej nieomyślności anonimowy student, pieczętując twierdzenie solidnym łykiem królewskiego.

Zatem Krzysiek został krwiodawcą. Po pierwszym oddaniu krwi dostał siedem czekolad. Sytuacja powtarzała się co dwa miesiące, profesor całkowicie się nim nie interesował i wszystkim żyło się dobrze. Do momentu, gdy pewnego popołudnia zadzwoniła do niego pielęgniarka z oddziału krwiodawstwa, gdzie regularnie pozwalał utaczać sobie krew.

– Wie pan, panie Krzysiu, że badamy wszystkich na okrągło – szczebiotała niemal wesoło – no i tak nam wyszło, że u pana coś nie za bardzo jest. Trzeba szersze spektrum zastosować, żeby mieć pewność, że pan jest zdrowy jak dąb!

Zbadał się. Było za darmo. Ta sama piguła wręczyła mu wyniki i jej uśmiech nie był już taki szczery jak dotychczas.

– Ma pan też skierowanie do doktora Radziszewskiego – powiedziała jakoś tak bez uczucia. – On już tam panu powie, co i jak.

Na wszelkie próby dopytywania się o szczegóły odsyłała go do specjalisty. Zatem poszedł. Doktor Radziszewski był bardziej bezpośredni, szybko wyjaśnił, że chodzi o glejaka, ot, takie gówno, co to czepiło się mózgu i może być złośliwe. Potrzeba więcej badań, mogą wystąpić pierwsze objawy jak zawroty głowy lub wymioty, a tutaj są recepty. Wykupić, łykać, a jak człowiek wierzący, to można się modlić, czemu nie. No i dzisiaj był ten dzień, że wyczerpano wszystkie możliwe badania, mocno nadwyrężając budżet NFZ, teraz już będzie

diagnoza. Leki łykał, w głowie czasem się kręciło. Na szczęście nie rzygał.

Wstał. O swoje rzeczy się nie martwił, kurtki i plecaka przypilnuje dziadek Walenty, który nie opuszczał kolejki, bo zapobiegliwie nie pił nic w dniu wizyty w szpitalu, aby oszczędzić sobie wizyt w toalecie. Czasem tylko wstawał, robił kilka kroków, po czym odwracał się na pięcie i wracał na plastikowe krzeselko. „Zapomniałem, że już nie palę”, mówił, po czym głośno kasłał. Fakt, rzucił palenie parę tygodni temu, gdy tylko lekarz oznajmił, że jego płuca właśnie podziękowały mu za siedemdziesiąt lat współpracy. Zaczął palić, jak miał trzynaście lat. „Takie czasy, panie, takie czasy”, mawiał czasem, wycierając łzy.

Krzysiek nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu. Od kilku miesięcy pałętał się po różnego rodzaju poczekalniach, lekarzach, bywał na zabiegach, prześwietleniach, skanerach i cholera wie na czym jeszcze. Zbliżał się powoli do finiszu tej gehenny, dziś miał usłyszeć diagnozę ostateczną, nieomylną i jednoznaczną. Tak mu obiecano. Dla chłopaka w wieku dwudziestu jeden lat samo słowo diagnoza było niezbyt przyjemne, zamiast polerować posadzki poczekalni, powinien opróżniać kufle w kolejnych knajpach.

Lekarz siedzący za rzeźbionym biurkiem robił wszystko, co w jego mocy, aby nie utopić się we własnym pocie. Była to walka heroiczna, acz z góry skazana na porażkę, prędzej czy później doktor musiał złożyć broń w postaci lnianej chusteczki, którą co chwila przecierał czoło, ponieważ w środku było bardzo gorąco.

– Specjaliści z Unii zafundowali nam remont budynku szpitala. – Powitał Krzyśka po raz kolejny, wycierając twarz. – Taka nowoczesna technologia, nie wymaga ogrzewania, coś tam w ścianach siedzi i niby w lecie chłodzi, w zimie grzeje. Cud techniki, jego psia mać. Widocznie nie uwzględnili globalnego ocieplenia. Wyobrażenie unijnego inżyniera przeraża fakt, że w Polsce w styczniu może być na plusie.

Krzysiek lekko się uśmiechnął, bo widać było, że lekarz chciał bardziej soczyście wypowiedzieć się na temat budownictwa ekologicznego. On też już się powoli rozbierał, bo w gabinecie doktora Edwarda Radziszewskiego było chyba ze trzydzieści stopni. Na zewnątrz około dziesięciu.

– Złodzieje... – mruknął lekarz. Krzysiek mu nawet współczuł. Za chwilę miał przekazać pacjentowi wyniki badań, a pewnie nie były zbyt wesołe. I jak tu mówić choremu, że ma raka, gdy człowiekowi pot zalewa oczy? Nie wypada.

– Niech pan spocznie.

– Panie doktorze, co tam wyszło? – zapytał w końcu, bo już chciał mieć to za sobą.

– Jak się pan czuje?

– Świetnie – odpowiedział zgodnie z prawdą. To było najgorsze, prawdopodobnie był śmiertelnie chory, a czuł się świetnie.

– Świetnie. No to świetnie.

– Zaraz może być gorzej.

– Ykhn... – Doktor Radziszewski odchrząknął. – Jak pan wie, zrobiliśmy komplet badań, nawet nadprogramowych. Tak to jest, jak podejrzenie nowotworu występuje u ludzi mło-

dych – zaczął lekarz, jakby po prostu nie mógł powiedzieć, co i jak. Jakby otoczenie wyroku frazesami łagodziło skutki. Jakby kat stanął nad skazańcem i oznajmił: „Bratku, nie mam dobrych wieści, niezmiernie mi przykro, że los w taki sposób nas połączył, od razu rozdzielając w dniu, w którym mogliśmy zacząć coś nowego, pięknego. Wybacz, ale zaraz utnę ci łeb!”.

– Panie doktorze, niech pan mówi, co i jak, bo zaraz się tu na koszt Unii upieczemy – rzucił Krzysiek przez ściśnięte gardło. Obiecał sobie, że zachowa spokój i wesoły nastrój do samego końca, ale zdaje się, że nie uzgodnił tego ze swoimi łydkami i dłońmi, bo te drżały i nie miały zamiaru przestać. Ot, nerwy. Miał już tego wszystkiego serdecznie dosyć. I nie chodziło tu o myśli samobójcze, lecz o wysiadywanie w poczekalniach, patrzenie w oczy tym ludziom, których los potraktował okrutnie, którzy jak jeden mąż zadawali sobie pytanie: „dlaczego ja?”. W szpitalnych korytarzach wysłuchał chyba setki różnych historii o chorobach, które w puencie zawsze mówiły o nieudolnym lekarzu, któremu się nie chciało albo nie ogarniał swojego powołania. A to wszystko kwitowane zwykle świętym tekstem każdej polskiej poczekalni: „Panie, trzeba mieć zdrowie, żeby chorować”.

– Zatem do rzeczy. Potwierdzam moją początkową diagnozę. Glejak pod czołowym płatem mózgu. Nieoperacyjny. – Doktor spojrział na Krzyśka spod okularów i ponownie przetarł czoło. – Oczywiście ma pan prawo do konsultacji z innym lekarzem, nawet bym to zalecał. Nie chodzi o wiarę czy zaufanie do mnie, ale o pana wewnętrzny spokój. Wyniki badań pan ma, zawsze można je przeprowadzić po raz drugi.

Co miał nie wierzyć. Doktor Edward Radziszewski miał tyle skrótów przed nazwiskiem, że kręciło się w głowie. W chwili, gdy lekarz omawiał wynik, przedstawiał możliwe opcje, myśli Krzyśka znajdowały się daleko. Jakoś nim to wszystko nie wstrząsnęło, był na to w miarę przygotowany. Jedynym problemem było to, jak powiedzieć rodzicom. Jeszcze nie mówił im o chorobie. Studiował sobie spokojnie w Warszawie, więc nawet nie wiedzieli, co się z nim dzieje. Z potoku słów wyłowił tylko to, że zostało mu jakieś sześć miesięcy życia. Reszta jak Bóg da, bo medycyna dać nie może.

– Jeszcze jedno – powiedział lekarz zmienionym tonem, jakby ostrzegawczym, w każdym razie wyrwał Krzyśka ze stanu zamyślenia połączonego z odrętwieniem.

– Tak?

– Nie wiem, jak to powiedzieć, ale muszę. Oczywiście to jak gdyby wychodzi poza moje kompetencje, ale moja moralność nakazuje pana poinformować, rzekłbym nawet, ostrzec.

– Słucham.

– Chciałem uprzedzić pana co do terapii alternatywnych. Jest mnóstwo szarlatanów, którzy obiecują cuda. Gdyby istniało lekarstwo na raka, tobyśmy je stosowali. Wiem, tonący brzytwy się chwyta, zatem pójźmy na taki układ: niech pan korzysta ze wszystkich terapii i szarlatańskich zabiegów, jakie tylko przyjdą panu na myśl, byleby nie kolidowały z naszą terapią. Zgoda?

Terapią? Sporo mu umknęło z tego, co doktor Radziszewski powiedział, ale czy tam było coś o leczeniu? Na szczęście lekarz jakby wyczuł jego myśli i wyjaśnił to, co ominęło jego uszy.

– Terapii nie przerywamy. Otrzyma pan komplet leków i zabiegów, z których proszę nie rezygnować. To nie jest tak, że dzisiaj usłyszał pan wyrok śmierci, chodzi o to, że szanse na skuteczne wyleczenie są bardzo małe. Jednak nadal są.

– Rozumiem.

– Zatem powtarzam, proszę z nich nie rezygnować. Ja mówię z doświadczenia. Niech pan jedzie pomodlić się do Częstochowy czy gdzie tam pan chce, byle nie przerywać terapii. Zgoda?

– Zgoda. – Kiwnął głową bez zbędnego entuzjazmu.

– Mówię poważnie. Słyszał pan o Jacku Kaczmarским, bardzie Solidarności? Walczył z rakiem przy pomocy kiszonki z ziół. Taką cudowną mieszankę sprzedawał mu jeden skurwysyn, który naciął ludzi na jakieś dwa miliony złotych. Nie pozwalał robić badań kontrolnych, kontaktować się z lekarzami. Terapia okazał się nieskuteczna.

Krzysiek znowu kiwnął głową.

– Mam wsparcie psychologa, już go powiadomiłem, że pan zadzwoni. Oto jego wizytówka. Na NFZ oczywiście.

– Nie wiem – zaczął Krzysiek nieśmiało. – Raczej nie sądzę, żebym chodził do jakiejś wróżki czy tych bioenergoterapeutów. Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Panie Krzysztofie. Wybrałem sobie trudny zawód i w miarę niewdzięczny. Mało który lekarz musi tak wielu swoim pacjentom przekazywać złe nowiny. Nawet jeśli sprawa jest do wyleczenia, to zazwyczaj wiąże się z kosztami, bólem i wyrzeczeniami. Jednak pozwoliło mi to dobrze poznać ludzi. Tak naprawdę każdy myśli, że jest indywidualistą, ale w sytuacjach ciężkich i stresujących reagujemy podobnie.

– Ale ja... – próbował wtrącić, jednak doktor Radziszewski miał najwidoczniej coś ważnego do przekazania i nie pozwolił sobie przerwać.

– Tak, wiem, pan nie wierzy w takie rzeczy. Ja tylko mówię: nie ma w tym niczego złego. Jak dla mnie wiara w Boga i czary to jedno i to samo. Umysł ludzki wciąż jest dla nas mniej zbadany niż Mars, potrafi dokonywać cudów. Chce pan skorzystać z metod alternatywnych, proszę bardzo. Jednak proszę nie zgłupieć i nie przerywać zalecanej terapii. Zgoda?

– Zgoda – odpowiedział bardziej dla świętego spokoju, z nadzieją, że rozmowa szybko dobiegnie końca. Nie mylił się.

– Proszę przejść do gabinetu obok, tam pani Basia wypisze panu komplet dokumentów. Będzie tam także moja wizytówka, jeśli zajdzie potrzeba, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Nie żartuję. Uprzedzam też, że mogą zwiększyć się zawroty głowy, ale tym się nie przejmować, unikać prowadzenia samochodu.

– Pić można?

– Nie zabraniam, jedna zła nowina na dzień wystarczy. Leki mogą kolidować, zatem pić dopiero jakieś dwie godziny po zażyciu.

Wstał, podał rękę doktorowi, ten również się podniósł, ale widać było, że minę ma nietęgą. Fakt, nieciekawy zawód sobie wybrał.

Na miękkich nogach Krzysiek przeszedł do pani Basi, po zestaw zwolnień, recept i innych papierzysk. Jako że nie była to kobieta zbytnio rozmowna, skończyło się na powitaniu i pożegnaniu. Gdy papierologia została zakończona, spakował dokumenty do teczki i wyszedł z gabinetu.

– Pats, dziadziu, Ksysiek to też zombie! – przywitał go krzyk Kasi na korytarzu.

Ano, kurwa, zombie, nie inaczej. Chodzący trup. Pogłaskał małą po głowie, kiwnął Walentemu i powlókł się do domu. Miał tam postawioną na stole słusznym rozmiarów butelkę jacka daniel'sa. Plan był taki, że jak okaże się zdrowy, wypije z radości, jeśli chory, to z żalu. Jednego był pewien, alkoholikiem nie zostanie. Nie miał na to czasu.

ROZDZIAŁ 2

Schody do piwnicy są kręte i spowite tą wilgotną ciemnością, która jest zarezerwowana dla miejsc zapomnianych przez bogów i ludzi. Światło pełgającego płomienia świecy wyławia z mroku czerwone cegły, charakterystyczne dla zamczysk i piwnic, w których torturowano winnych i niewinnych. Schodząc w dół, masz świadomość, że przed tobą stawiali tu kroki najwięksi ludzie swoich czasów, budowniczo wie nie tylko miast, krajów, ale i architekci losów świata. Doświadczasz tego uniesienia, jesteś wybrańcem i za chwilę opadnie kurtyna tajemnicy, zostaną ci przekazane sekrety, za których wyjawienie traci się nie tylko życie, ale i duszę. Setki twoich współbraci stoją przy ścianach, trzymając w rękach olbrzymie świece, zasłoniętymi przez kaptury twarzami wskazują ci drogę do ołtarza. Stoisz tam i pomimo drżenia łydek i zimnego potu oblewającego ci plecy jesteś dumny z obranej kiedyś drogi i wytrwałości, która cię tu doprowadziła. Lata wyrzeczeń, zmagania się z irracjonalnymi zagadkami i zadaniami godnymi dwunastu prac Herkulesa. Szkoliłeś się długo i zagorzale, pokonanie nauczycieli potworów, którzy pożerają najsłabszych w najmniejszej chwili słabości, przywiodło cię właśnie tutaj.

Wielki Mistrz wchodzi na podwyższenie, nie trzyma świecy jak pozostali, ale wielką księgę, której poźółkłe stro-

nice otwierają się dla nielicznych. Nadszedł czas na przysięgę. Powtarzasz z czcią słowa, które zapisano na tych przedwiecznych kartach. Co sprawiło, że przetrwały tyle lat, z czego są zrobione? Lekki dreszcz przebiega ci po karku, gdy z czeluści pamięci wyłania się historia ksiąg z ludzkiej skóry. Nie czas na to, trzeba skupić się na przysiędze. Nie jest po łacinie, gdyby była, pewnie podniosłoby to jeszcze rangę uroczystości, ale każdy adept musi w pełni ją rozumieć, zresztą łaciny was nie ucza. Składasz wszak przyrzeczenie, którego złamanie karane jest okrutną śmiercią, twoją i całej twej rodziny. Słowa płyną pod sklepieniem, idzie całkiem łatwo. Nie mylisz się. Zostały dwa ostatnie zdania...

„Przyrzekam, że nigdy nie wybuduję przejazdu kolejowego, który będzie prosty, równy i wytrzyma więcej niż dwa lata. Każdy przejazd, który wyjdzie spod mej ręki, będzie urywał zawieszenia i zmuszał kierowców do przekleństw. Amen”.

Wszyscy zdmuchują świece.

Koniec ceremonii. Zostałeś inżynierem.

Tak to musiało wyglądać, Krzysiek był tego pewien. Żadne inne racjonalne wyjaśnienie tego, że właśnie odbijał się głową od podsufitki swojego samochodu, a zawieszenie jęczało niczym zdychający łoś, nie przychodziło mu do głowy. I to jeszcze żeby znajdował się na jakimś zadupiu, ale nie, to droga krajowa w mieście, które jest słynne na całą Polskę, a przejazd remontowano dwukrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Kurwa mać, żebyś sraczkę dostał i papieru pod ręką nie znalazł – zaklął, czym tylko potwierdził wersję tajnej przysięgi inżynierów.

Przepraszając swoją alfę za te tortury, przejechał jeszcze kilkaset metrów, po czym odbił z głównej drogi na podwórko. Cała droga z Warszawy do Sandomierza przebiegła mu spokojnie, słuchał swojego ulubionego podcastu kryminalnego autorstwa Michała Krzemińskiego, zagłębiając się w kolejne sprawy seryjnych morderców. Gdyby nie oddał swego serca historii, pewnie skradłaby je kryminologia.

Ojciec położył w lecie kostkę brukową, za co był mu w tym momencie ogromnie wdzięczny. Wcześniej podwórko przypominało bagna, które mogły powstrzymać każdą ofensywę wojenną. Ciężko było przejść, a dziś premierę miały nowe buty, których nie chciał ubrudzić. W sumie po co śmiertelnie choremu nowe buty Salomona z gore-texem, które wytrzymają kilka lat górskich wędrówek? Do trumny w nich go nie pochowają, zapisać komuś też obciach. Zbytek. Ale z drugiej strony po co umarłemu kasa... Wyjął torbę z bagażnika i ruszył do domu.

– Psze pana, moja alfa nie zepsuła się od tygodnia, co może być przyczyną?! – usłyszał na wejściu. To brat witał go sucharem, po którym najpewniej nastąpi klepnięcie w plecy. Marek był tylko trochę do niego podobny, a już w kwestiach motoryzacji zdecydowanie różnił się od Krzyśka – wyznawał zasadę: „Ford gównu wort, a fiat jego brat”. Co oznaczało, że między innymi włoską motoryzację miał w głębokim poważaniu. Sam jeździł hondą.

Ogólnie rzecz biorąc, jeśli chodzi o tę rodzinę, to była mocno klasyczna, przeciętna i stereotypowa. Matka była pielęgniarką i spełniała swoją życiową misję, polegającą na byciu

strażnikiem galaktyki i – niczym Batman na straży Gotham – pilnowaniu swych podopiecznych na OIOM-ie. Jako piguła nie miała sobie równych, chociaż, co zdumiewające, w życiu wykazywała cechy lekkoducha. Krzysiek zawsze podejrzewał, że z powodzeniem mogła zostać malarką i sprzedawać swoje prace do najlepszych galerii świata, bo malowała pięknie i w kilku zwykłych liniach potrafiła przemycić to coś, co sprawia, że oko nie ucieka z obrazu zbyt szybko. Cechowała ją także typowa dla artystów naiwność i szczerzy podziw dla rzeczy oczywistych, a także zdolność rozbrajania nawet największych ponuraków. Kiedyś męczyli się w galerii handlowej, szukając prezentu dla ojca. Sezon wyprzedaży, ludzi nawaliło jak na mszy papieża. Po dwóch godzinach matka pyta: „Krzysiu, co to za firma Sale? Wszędzie mają swoje produkty, i to zawsze o kilkadziesiąt procent taniej”. Cała mama.

Ojciec z kolei mógłby zostać gwiazdą katalogu dla majsterkowiczów. Jego warsztat pełen był narzędzi z wyprzedaży, które normalnemu człowiekowi są zbędne, a nawet gdyby wpadły mu w ręce, toby miał spory problem z określeniem ich zastosowania. Ojciec ciągle łąził po podwórku, stukał, pukał, wiercił i ciął, ale Krzysiek nigdy jeszcze nie widział rezultatu tych hałasów. Babcia, gdy jeszcze żyła, zawsze komentowała te poczynania następująco: „Łazi i tylko wiatr robi. Dzisiaj mu się umyśliło, że będzie króliki chował. Chliwków se nastawia i tak dupa z tego będzie”. No i faktycznie, ojciec popukał, postukał, sklecił jakąś klatkę, ale królików się nie doczekali. W międzyczasie stary miał hodować: osławione króliki, pawie, kury, nutrie, norki, świnki wietnamskie, strusie, a nawet

konie. Z przyrody mniej ruchawej wymienić można: tulipany, borówkę amerykańską, tytoń, boczniaki i chmiel. Poza tym był to dusza człowiek, który potrafił zwlec się z łóżka o czwartej nad ranem, bo ktoś zadzwonił, że nie może odpalić samochodu do pracy i trzeba mu pomóc.

Brat natomiast wyznawał prostą filozofię życiową, że jak się komuś coś nie podoba, to zawsze może dostać po ryju. Z takim podejściem miał jasno naświetloną ścieżkę kariery i został policjantem. Najbardziej chwalił sobie okres szkolenia, szczególnie gdy był w prewencji. „Tak laliśmy tych skurwysynów z Wisły Kraków, że aż mnie ręka bolała i już nie miałem siły pałką machać. Przejebane”. Mimo przypuszczeń całej rodziny Marek nie skończył jako wioskowy wykidajło, gwiazda remizy, posiadacz czwartego dana w walce sztachetą, ale trafił w końcu do kryminalnej. Od tamtej pory klasyczną rozrywką rodziny Szorców były opowiadane przez niego przy obiedzie historie z pracy: a to jak znaleziono zwłoki w Wiśle albo trupa dziadka na tapczanie, a to kto wypatroszył prostytutkę w Lubuskiem – same fajne rzeczy.

Oprócz tego w Boże Narodzenie ubierali choinkę i żarli zbyt dużo, przyjmowali księdza po kolędzie, dając mu kopertę, święcili jajka, zazdrościli sąsiadom nowego samochodu, złorzeczyli rządzącym i wzywali imię Pana Boga nadaremno średnio co godzinę. Klasyczna polska rodzina, aż głupio przyznać.

I z tą normalną polską rodziną miał zasiąść do późnej kolacji. Czekali na niego, powitali, pokleпали po plecach, dali mu się lekko odświeżyć, a teraz boczuś, szyneczka, chrzanik. Oczy-

wiecie tata wyjął butelkę spirytusu z miodem, brat kieliszki i zaczęło się biesiadowanie. Nic wielkiego, ot jemy, pijemy, gadamy.

– Zjedz karkóweczki, synuś – powiedziała mama, a Krzyśkowi od razu przypomniała się akcja z jakiegoś kabaretu. Gościu, obcokrajowiec, opowiadał, jak pierwszy raz wybrał się do Polski. Siedział w samolocie LOT-u i miał wrażenie, że wsiadł do złej maszyny. Uczył się polskiego kilka lat, ale tutaj nic nie rozumiał. A wszystko dlatego, że stewardesy zwróciły się do niego tymi słowami: „Może kawki, herbatki, a może kanapeczkę albo chociaż piwko?”. Same zdrobnienia. Czy istnieje inny naród, który ma aż tyle zdrobnień, co my? Nigdy takie rzeczy nie zaprzętały mu myśli. Dopiero teraz. Zebrało się na przemyślenia, trzy ćwierci do śmierci... Zakręciło mu się lekko w głowie i delikatnie złapał się stołu. Chyba nikt tego nie zauważył. Zawsze mógł rzucić to na miksturę ojca, że niby nalewka go trzepnęła.

– No to ostatnio nam się taki umarłak trafił, że szok. – Ot i zaczynała się kolejna opowieść brata o ciężkim życiu polskiego policjanta. – Dzwoni jakaś pinda, że wisi człowiek w stodole. Samobójca się huśnął, nie ma co, jedziemy. A tam koleś nie na pasku, lince czy czymś takim, ale ćwok się na łańcuchu powiesił. Kiepsko długość łańcucha obliczył, z pięć centymetrów, i by normalnie spadł na nogi. Jakim, kurwa, trzeba być debilem...

– Marek, wyrażaj się. – Mama nie lubiła, jak jej trzech mężczyzn przeklinało.

– Ale, mamó, toż to debil. Na łańcuchu? Co, paska nie miał albo sznurka? Łańcuch ci się nie zaciśnie, tylko wisisz jak ta

szynka i powoli z ciebie spieprza życie. Tak kiedyś wieszali czarownice i dzieciobójców, uczyli nas o tym w Szczytnie.

– Może to czarownik był? Albo dzieciobójca? – Mama postawiła na stole podsmażoną kielbasę z cebulą.

– Ta, na pewno – prychnął Marek. – Gościu handlował jakimiś tam miksturami w necie, ale żaden czarownik. Wydaje nam się, że coś w interesach nie poszło i się zwarzył.

– Czyli czarownik – zawyrokowała mama – jak ten, co dzisiaj ta blondyna na TVN-nie mówiła.

– Jaka blondyna? – zaciekawił się ojciec, polewając kolejkę.

– Aż nagrałam. – Mama miała dekoder z funkcją nagrywania i rejestrowała wszystko, nic później nie oglądając. – Puszczę wam. – Pomajstrowała przy pilocie i faktycznie puściła.

– Czyli pani jest jakby sekretarką? – spytała dziennikarka jakiejś seksownej blondyny.

– Cholera, nie od początku – zasmuciła się mama.

– Zostaw, bo jeszcze spieprzysz – mruknął ojciec.

– Jestem żoną Jakuba, ale tak, zajmując się obsługą interesantów – odpowiedziała blondyna, a Krzysiek musiał stwierdzić, że to zdrowa dziewiątka.

– Czyli to pani decyduje, kogo mąż uleczy? – dociekała dziennikarka.

Zapadła chwilowa cisza, którą przerwała mama:

– To żona tego uzdrowiciela, co to wyleczył prezydentową.

Krzysiek coś o sprawie słyszał. Prezydentowa zachorowała, naród już ją praktycznie pochował, gdy naraz znalazł się uzdrowiciel, który zaoszczędził kancelarii prezydenckiej

kosztów pogrzebu. Oczywiście księża wściekali się na ambonach, lekarze profesjonalnie kiwali głowami, setki ekspertów miało coś do powiedzenia. Tymczasem blondyna uśmiechnęła się cierpko i odpowiedziała dziennikarce:

– Rozumiem, że wasza stacja karmi się tanią sensacją i poziom dziennikarstwa rzadko wychodzi poza dolne rejony szamba, ale zaoszczędzę wszystkim nerwów. Nie ja wybieram, tylko mój mąż. I uprzedzę kolejne pytanie: nie bierze za to pieniędzy, po prostu pomaga ludziom.

– Ale nie wszystkim.

– Ma pani rację, nie wszystkim.

– Przecież mógłby pomóc wszystkim, którzy go proszą o pomoc. Nie jest to pewnego rodzaju obłuda?

– Obłuda? Powiem pani tak. Oglądałam ostatnio transmisję koncertu z panem prezydentem w roli głównej. Gala na cześć Szlachetnej Paczki. Prezydent popierał inicjatywę pomocy najuboższym, robienie paczek na święta dla najbiedniejszych. Ile trzeba mieć tupetu, jak bezczelnym trzeba być, żeby głowa państwa brała udział w takiej uroczystości! Zorganizowanie tego koncertu kosztowało pewnie dużo więcej niż ta cała akcja, nie mówiąc już o tym, że prezydent bawi się w cyrk rozdawania prezentów, a w tym samym momencie przeznaczą grube miliony na Świątynię Opatrzności Bożej. Rzygać się chce.

– Pani tutaj też bawi się w cyrk... – Dziennikarka próbowała ratować sytuację, ale blondyna nie odpuszczała:

– O nie, to, że uratowaliśmy prezydentową, wspaniałą osobę, która tak naprawdę nie ma nic do powiedzenia w tym

kraju... ani we własnym małżeństwie, to inna sprawa. Ja przyszłam tutaj powiedzieć tylko jedno: jeśli ktoś z państwa jest chory, potrzebuje pomocy, niech napisze do mojego męża. Adres to jakubpomoze@gmail.com. Mój małżonek z pewnych względów nie może pomóc wszystkim, ale postara się udzielić wsparcia jak największej liczbie ludzi. Nie musicie mieć pieniędzy, bo ich nie bierzemy. – Blondyna uśmiechnęła się do widzów, po czym popatrzyła w oczy prowadzącej. – Nie ugra sobie pani na mnie punktu w CV. Pani nie powinna nawet prowadzić rubryki z horoskopami w gazetce szkolnej. Jest pani pomnikiem upadku etyki mediów i rzetelności dziennikarskiej w Polsce. Mam nadzieję, że tak jak kiedyś pomniki Lenina i Dzierżyńskiego zrzucano przy brawach stoczniovców, tak i pani trafi na śmietnik historii. A wszystkim państwu dziękuję. I piszcie. Do widzenia.

Blondyna wstała, zostawiając prowadzącą w takim stanie wkurzenia, że aż wielkie czerwone plamy pojawiły się na jej twarzy, i to pomimo solidnego makijażu. Weteranka wywiadów, która wycierała swoimi szpilkami korytarze chyba wszystkich stacji telewizyjnych w tym kraju, została rzucona na deski przez amatora i zliczona w pierwszej rundzie. Podobno karierę zrobiła dzięki znajomościom, tatusiowi, funkcjonariuszowi MSW w złotych czasach PRL, i umiejętnemu dysponowaniu własną dupą, bo ani wyglądu, ani talentu nie posiadała.

– Bravo dla tej pani! – Ojciec wznosił toast i szybko trzasnęli kolejkę.

– Zrobi sobie reklamę ten znachor, nie ma co – powiedział Marek.

– Jaką reklamę? – oburzyła się mama. – Przecież ta kobieta mówiła, że nie o pieniądze im chodzi.

– Mamo, nie bądź naiwna. – Markowi zawsze po kilku kieliszkach włączało się gadanie. – Zawsze o kasę chodzi. Wiesz, ile ludzie zapłacą takiemu znachorowi? Ile będzie chciał? Ten dupek, co się powiesił, to za słoik mazidła brał kilka tysięcy złotych. I głupie ludzie kupowali. Pewnie się jeden wkurwił, jak mu specyfik nie pomógł, i dziada powiesił. Rozpatrujemy taką opcję.

– O chorych ludziach to ty mi nic nowego nie powiesz. Ja w szpitalu przez trzydzieści lat się naoglądałam.

– Chorych uleczyć, spragnionym dolać – zawyrokował ojciec, polewając następną kolejkę.

– Nie pijcie tyle – rzuciła automatycznie mama, kursując między lodówką a kuchenką. – Zaraz będą jajka w majonezie.

– Daj spokój, matka. – Ojciec machnął ręką. – Taka naleweczka to samo zdrowie. Miód, imbir, rodzyнки. Samo zdrowie.

Ciekawe, czy mi pomoże, pomyślał Krzysiek. Odkąd pamiętał, matka marudziła, że za dużo piją, ojciec bagatelizował sprawę, a w końcu i mamuska wychylała kilka kieliszków i zbierało się jej na tańce oraz śpiewy. Tak, do muzyki leżącej ze starego kasprzaka rozpoczynały się tańce w przedpokoju domu. Tworki normalnie. Rodzice strasznie się kochali i zazdrościł im tej miłości jak niczego innego na świecie. O takiej marzył, ale raczej nie będzie mu dana. Ale gdyby to był amerykański film, to teraz powinna pojawić się piękna dziewczyna, która postanowi osłodzić mu ostatnie dni życia. Będą się

kochać, robić same szalone rzeczy, a potem on będzie konał na szpitalnym łóżu, a ona w tym samym czasie będzie w sali obok przytulać ich nowo narodzonego syna. Niestety, Hollywood w życiu szarego człowieka pojawia się tylko wtedy, gdy ktoś go napadnie albo zajmą mu spod bloku samochód.

Krzysiek wypił kolejny kieliszek miódóweczki (znowu zasrane zdrobnienie) i mruknął coś o zmęczeniu, po czym powlókł się do swojego pokoju. Wiedział, że dyskusja zaraz zejdzie na politykę, potem na sport, następnie włączą się wspominki rodzinne, jak choćby te o Murzynie znalezionym w krzakach podczas imprezy. Dzisiaj nie miał na to siły, i chyba nie była to też najlepsza okazja do obwieszczenia rodzinie informacji o swoim stanie. Za to chyba nastąpił dobry moment, żeby skrobnąć maila do znachora.

Wstydił się sam przed sobą, że pisze głównie z powodu tej ponętnej blondynki, a nie swojej choroby. Odezwały się w nim, zakorzenione przez lata katolickiego wychowania, wstyd i strach przed wszechmocnym Bogiem, który widzi i słyszy wszystko. Teraz pewnie brodaty starzec siedział na swym tronie i gniewnie marszczył czoło, widząc, jak Krzysiek marzy o pięknej kobiecie, mężatce na dodatek, a nie o powrocie do zdrowia. O nie, chłopcze, miałem cię uratować, ale zdechniesz jak pies z pięknym guzem w mózgu. Miałeś przemierzyć drogę Hioba, już stawiałem na twojej ścieżce krzew gorejący, już zsyłałem anioła z planami arki, a ty wszystko zjebałeś. Tylko ci dupy w głowie. Zdychaj. Amen.

Pucuj się, gościu! – ośmielony miódówką był w stanie stawić czoła nawet Wszechmogącemu. Leciutko kręciło mu się

w głowie, ale mimo to otworzył laptopa i szybko wklepał kilka zdań.

Nazywam się Krzysiek, jestem nieuleczalnie chory i nawet Pan mi nie pomoże, nie ma takiej opcji. Takó rzecze doktór Radziszewski. Chciałem tylko powiedzieć, że żonę ma Pan pierwsza klasa, jestem w stanie uwierzyć we wszelkie cuda, jak na nią patrzę. Wszak jest to bezsprzeczny dowód na istnienie Boga. Tyle z mojej strony. Naprawdę niezła dupa. Zazdroszczę.

Pozdro, Krzysiek

Chichrał się jeszcze przez chwilę, po czym kliknął „Wyślij”. I zamarł. Przecież maile odbierała właśnie ona. Tak mówiła w telewizji. To się wygłupił. Dżizas. Nie dość, że był śmiertelnie chory, to jeszcze potrafił się ośmieszyć jak nikt inny. No nic, dziękujemy ci, zasrany internecie. Szybko piszemy, nie myślimy, wysyłamy. Normalnie, pisząc na papierze, to przeczytałby taki tekst z dziesięć razy przed wysłaniem, no i zawsze mógł rozwalić skrzynkę i wyjąć list, zanim zgarnie go poczta. Walnął się do łóżka i tocząc bój myślowy z Bogiem, sobą samym, przeskakując nadciągające fale wstydu z surfującym po nich strachem – usnął.



Oczywiście rano kaca nie było. Nie, po miódóveczce ojca nie miało prawa być. Cała rodzina już schodziła się na śniadanie. Jego brat miał swego czasu dziewczynę, którą kilka razy

przywiózł do domu. Ta się śmiała, że tutaj to tylko się je. Kiedyś w chwili szczerości powiedziała mniej więcej tak:

„Schodzicie się na śniadanie, które je się dwie godziny, potem godzinę się po nim sprząta i od razu jest przygotowanie do obiadu. Oczywiście do obiadu idzie miodóweczka, więc trwa to wszystko ze trzy godziny. Następnie krótka drzemka panów domu, kobiety krzątają się w kuchni, po czym nie pozostaje nic innego, jak tylko zasiadać powoli do kolacji. Co ja mówię, kolację to się zjada w normalnym domu, wy macie klasyczne wieczerze. Tak, tak właśnie wygląda wieczerza. Dupa mi tu urośnie jak starej Cygance”.

To była jej ostatnia wieczerza. Zostawiła Marka, a Krzysiek był w szoku, że aż tyle z nim wytrzymała. Inteligentna, wykształcona dziewczyna, a trzymała się jego brata. Dlaczego on był z nią, to jasne. Sam mu kiedyś powiedział przy piwie: „Człowieku, ona z chuja śmigło robi.” No tak, niezaprzeczalna zaleta.

Zatem śniadanie zaczęło się klasycznie: pełny stół zarcia, dzbanki z herbatą i nastawiony ekspres z kawą. Jadł, pił i brał udział w dyskusjach, od czasu do czasu sprawdzał na komórce pocztę, ale żadna odpowiedź nie przychodziła. Nie przyszła tego dnia ani następnego, ani do końca tygodnia.

W wolnych chwilach pomiędzy posiłkami zapręgał do pracy wujka Google i szukał informacji o znachorze. Jedyne twarz, jaka się pojawiała, to ta należąca do owej blondynki, którą mógł od tej pory nazywać Weroniką Zdun. To ona się wypowiadała publicznie, kontaktowała z chorymi, załatwiała wszelkie sprawy zarówno urzędowe, jak i finansowe.

I tu można zacząć wyliczać teorie spiskowe. Dziennikarze dwóch naczelnych szmatławców Rzeczypospolitej w tempie superekspresowym podawali fakty różnej maści. Śledztwo dziennikarskie dowiodło, że żaden pan Zdun nie istnieje. Wszystko jest wielkim kantem. Weronika chce być celebrytką, zaistnieć i kosić hajs. Razem z aktoreczkami z dolnej półki chce szwendać się niby przypadkiem po galeriach i dawać się fotografować.

Po tym, jak pani prezydentowa, Joanna Słodkowska, została uleczona z bardzo zaawansowanego raka trzustki, sprawy przybrały inny obrót. Nieustępliwi dziennikarze ustalili, że to sama Weronika jest uzdrowicielką, a reszta to zasłona dymna. Kościół wypowiadał się na ten temat niczym mityczna bestia o siedmiu głowach i siedmiu ogonach. Każda głowa mówiła co innego, każda, bez wyjątku, bez sensu. Jedni widzieli w tym rękę Boga, inni Szatana, znachor był opluwany, odsądzany od czci i wiary lub wznoszony pod niebiosa.

Ogólnie rzecz biorąc, Krzysiek zawsze się dziwił, że tak potężna organizacja jak Kościół katolicki nie może zatrudnić sobie speców od PR i marketingu, którzy by zbudowali od nowa markę tej instytucji. Co chwila wypowiadał się jakiś zakonnik, księżulo lub inny nawiedzony katomaniak, który wygadywał takie pierdoły, że gdyby Bóg istniał, to niechybnie pieprznąłby w idiotę gromem z jasnego nieba. A to skrytykowali czytanie *Harry'ego Pottera*, co poskutkowało zwiększeniem sprzedaży książki. A to niechcący wypromowali *Hobbita* czy *Kler*. Zdaniem Krzyśka Kościół nie rozumie praw mediów, rynku, kieruje się swoim średniowiecznym zacofaniem,

które doprowadza do zmniejszenia ilości wiernych i lżejszych tac w niedzielne nabożeństwa. Nie dociera do nich, że czasy palenia ateistów na stosach już nie wrócą, że ksiąg zakazanych nie puszcza z dymem.

Wracając do naszego uzdrowiciela, to kolejnym problemem był fakt, że nikt nie wiedział, gdzie jest siedziba owego anioła i demona w jednym. Ludzie nie mieli gdzie palić zniczy, śpiewać *Gorzkich żali*, machać portretami z Matką Bożą. Zazwyczaj wystarczyła źle umyta szyba, aby jak za dotknięciem magicznej różdżki wylęgli się wierni z podręcznym przybornikiem oszołoma. Krzysiek się im wcale nie dziwił, rozumiał ich doskonale. Od czasów spisania Nowego Testamentu obecność Boga przejawiała się głównie w źle umytych szybach. Skończyły się potopy, nikt nie przemieniał wody w wino, nie odnotowano wskrzeszeń. Chłopisko zapomniało o tym świecie.

Zatem podjęte przez Krzyśka szeroko zakrojone poszukiwania mówiły jasno, że jedynym punktem zaczepienia jest adres mailowy podany w programie przez Weronikę. A jak to było z uzdrowieniami? Miał na co liczyć? Pamiętał, jak babcia oglądała kiedyś Kaszpirowskiego i jakiegoś innego maniaka, który energetyzował wodę mineralną. Siadała razem z sąsiadkami, wszystkie uzbrojone w plastikowe butelki buskowanek, i czekały na cud. Ten miał się objawić w postaci bąbelków. Czasem się pojawiały, jak to w mineralnej. Potem piły tę wodę i podobno działała.

Od przeczesywania nieprzebranych zasobów sieci bolała go głowa. Uzdrowiciele w Polsce mieli się dobrze, zrzeszali

się w związkach, stowarzyszeniach, mieli swoje czasopisma, a nawet rankingi. Ot, pierwszy z brzegu przykład, portal „Macierz” publikował ranking najslawniejszych i najskuteczniejszych uzdrowicieli, bioterapeutów i szamanów polskich. Tajemniczego znachora nie było jednak w żadnym zestawieniu, według komentarzy internautów za mało leczył, znany był w sumie tylko jeden jego przypadek uleczenia – osławionej prezydentowej.

Trzasnął laptopem niczym drzwiami od świata, musiał się przewietrzyć. Wsiadł do samochodu i pojechał do centrum miasta. Zaparkował pod zamkiem i ruszył do parku, dumy miasta, która jednak nie zapewniła burmistrzowi reelekcji w poprzednich wyborach. Siadł na ławce i cieszył się słońcem. Rzadko zdarzało się, aby w styczniu można było kąpać się w promieniach słońca. Monotonia przypominała mu spokojny głos Krystyny Czubówny i programy przyrodnicze, ot, na przykład o sawannie. I oto dzięki magii wyobraźni znana lektorka beznamytnie informowała go, że obok ławki przemykają opięci w trykoty rowerzyści – najszybsze stworzenia tegoż parku. Starsze osobniki przemierzają niepokojne równiny poprzecinane alejkami, wymachując kijkami do nordic walkingu, nieświadome grożącego im niebezpieczeństwa. Zbite w małe stada matki pchają wózki, chroniąc swoje potomstwo, jednocześnie szczebioczą o pieluchach, kaszkach i porodach. Czubówna poszła o krok dalej: chory osobnik przysiadł na ławce i czeka na kres swojego życia, odrzucony przez stado.

– Można? – z zamyślenia, wręcz półsnu, wyrwał go męski głos. Jakiś facet, też w trykotach, z dużym sportowym zegarkiem na rękę, bandamką i ciemnymi okulara-

mi, rozcierał łydkę i wskazywał na miejsce obok Krzyska.

– Jasne, proszę – odpowiedział. Współczuł biegaczom. Taki rowerzysta miał na co wydawać kasę. Nowy rower, przerzutki, rękawiczki, pompki i inne pierdoły, natomiast biegacz, no cóż, mógł poszaleć jedynie przy zakupie butów i zegarka. Dlatego nie patrząc na nic, udowadniali, że konieczne im są najróżniejsze akcesoria. Wyobraził sobie mistrza maratonów biegowych, żyłastego Etiopczyka, który boso mija takiego zawodowo ubranego lansera i kiwa z politowaniem głową.

– Skurcz – wyjaśnił facet, rozcierając łydkę. – Dawno nie biegałem, zastał się człowiek. Ale ruch to zdrowie.

– Samo zdrowie. – Mechanizmy dobrego wychowania wbijane mu od małego przez matkę nie pozwoliły olać koleśia. Trzeba było gadać. Co prawda mógłby biegać dwadzieścia cztery na dobę, ale zdrowie mu się od tego nie poprawi.

– Samo zdrowie – zgodził się biegacz. – Mogę zapytać o jedną rzecz?

– Zapytać zawsze można. – Krzysiek zaczął się przyglądać intruzowi, który dokonał aneksji połowy ławki. Metr osiemdziesiąt, wysportowany, ogolony, niestety okulary skrywały oczy, a chustka włosy. Gość wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat. Z twarzy podobny zupełnie do nikogo.

– Fakt. No to jedno pytanie, krótkie. Zgoda?

– Wal pan śmiało! – Ta rozmowa zaczynała być ciekawa, jakiś kolorowy element w szarym płócie szpitalnej codzienności, który Krzysiek musiał ostatnio często przeskakiwać.

– Chciałbyś być zdrowy?

– A nie jestem?

Facet zdjął okulary i zaczął je przecierać, mrużąc niebieskie oczy przed stycznym słońcem.

– A jesteś?

– A co panu do tego? – To, że gość przeszedł od razu na ty, nie oznaczało, że zacznie do starszego od siebie mówić po imieniu. Zresztą jakim imieniem, nawet go nie znał. – W dodatku chyba brudzia ze sobą nie piliśmy, nie przypominam sobie.

– Chciałbym nadmienić, że to ty zaczęłaś. Na końcu maila napisałaś „Pozdro, Krzysiek”. Uważam, że to pozwala nam przejść na ty.

Ożeż kurwa! Co jest? To on? Pewnie, że on. I gdzie blondyna? A skoro to on, to czytał jego maila. Przecież to jej mąż. Zajebiście. Był ugotowany.

– Zatkalo kakao? – uśmiechnął się intruz. – Jakub jestem. – Wyciągnął rękę, którą Krzysiek automatycznie ucisnął.

– Krzysiek.

– No a brudzia walniemy kiedy indziej, obiecuję. Wozem jestem. Ty też?

– Ja też.

– No to jak? Chcesz być zdrowy? Masz dziesięć sekund na decyzję.

– Chcę! – wyrzucił z siebie, karcąc się w myślach za zbyt ni entuzjazm. Zgadzał się, tak, chciał być zdrowy, owszem, najwyżej potem zrezygnuje. A może go wkręcał? Ale skąd by wiedział o mailu?

– Super! Cieszę się. Ale wiążą się z tym zasady, wchodzimy w pewien układ. Taki związek przyczynowo-skutkowy.

– Co, pewnie mam olać lekarzy? – To pierwsza rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Pewnie w efekcie wykładu udzielonego mu w gabinecie przez doktora Radziszewskiego.

– Przecież twój lekarz powiedział ci, żebyś tak nie robił. – Znachor rozparł się na ławce i spojrział w słońce. – Znam doktora Radziszewskiego lepiej, niż ci się zdaje. Zresztą dzwoniłem do niego, mówił mi o tobie same dobre rzeczy i nawet prosił, żebym się zajął tym guzem w twojej głowce. Myślisz, że jak cię znalazłem? Bo twarz poznałem po fotce z Facebooka.

– Jak to? Jak mówił? A tajemnica lekarska?

– Heh, jak ktoś ci ratuje córkę od białaczki, to masz dług do spłacenia. Zrozumiesz, o ile pozwolisz się uleczyć.

– Pozwolę? Przecież już się zgodziłem.

– Na razie to wyraziłeś chęć powrotu do zdrowia. Do uleczenia długa droga, musisz przystać na pewne warunki. Wiem, to wszystko bardzo szybka akcja, przysiada się gość na ławce, wali prosto z mostu, dyktuje warunki, można oszałeć. Pewnie wyobrażałeś sobie to inaczej: że dostaniesz maila z numerem konta, potem wizyta w szafasie pełnym ziół i tajemniczych mikstur. Wybacz, że cię zawiodłem, ale to wszystko spowodowane jest moim uszanowaniem czasu. Sam go nie mam za wiele, ty chyba też, co?

– Około pół roku – odpowiedział Krzysiek. – Niby dużo i mało zarazem.

– Śmiej się, że w tym konkretnym przypadku to niewiele.

Chłopak pokiwał głową potakująco.

– Świetnie, podstawy działania są, zgoda pacjenta także. Teraz dalsze formalności. Sprawa pierwsza to taka, że musisz zamieszkać w moim domu. Dwa tygodnie, nie dłużej. Od rana do nocy możesz robić, co chcesz, nawet jeździć na drugi koniec Polski na leczenie i takie tam. Wymagam jednak, żebyś w nocy był w domu oraz każdego wieczoru poświęcał mi godzinę na rozmowę. Tyle.

– I co? Jak dotrzymam warunków, to mnie wyleczysz? – Fakt, nie tak sobie wyobrażał uzdrawianie, może nie oczekiwał szamańskich zabiegów, ale jakaś odrobina mistycyzmu by się przydała.

– Nie wiem, czy cię wyleczę. Posiadam taką moc, możesz wierzyć lub nie, to bez znaczenia. Ten czas pozwoli mi cię poznać, zdecydować, czy twoje życie jest cenne. Kto wie, może jesteś mordercą, gwałcicielem, może kradniesz, handlujesz prochami. Może w twojej duszy siedzi zło. To się okaże. Ale to chyba niezbyt wysoka cena za możliwość bawienia wnuków na starość?

– Będziemy rozmawiać?

– No, głównie rozmawiać, a czego się spodziewałeś?

– Terapii jakiejś, nie wiem, zabiegów, naporów.

– Czarnych kotów pilnujących mojego alchemicznego laboratorium, w którym przyrządzam mikstury? Okładów z dżdżownic, mrocznych zabiegów, spacerów o północy na cmentarz? Mogę to wszystko zorganizować. Jeśli poczujesz się wtedy lepiej, będzie zabawnie. Nie wiem, co na to Weronika, nie przepada za kotami, robaków się brzydzi, o północy lubi już być w łóżku. Sceptycznie podchodzi do szamańskich wybryków, to wybitna racjonalistka.

– Racjonalistka? Nie wyglądała na taką w TVN.

– Zdziwisz się, jak zmieniają się ludzkie poglądy, gdy postawi się człowieka w obliczu cudu dokonanego.

– Dziwne to wszystko...

– Słuchaj, mistrzu. Nie chcę od ciebie złotówki. Dostaniesz dach nad głową, pełne wyżywienie i bonus w postaci nieźle zaopatrzonej piwniczki. A jak będziesz chciał, to pomożesz w domowych obowiązkach takiej niezłej blond dupie. Spodoba ci się.

Krzysiek zrobił się czerwony. A jednak wyszło szydło z worka. Jakub tymczasem mówił dalej:

– Właśnie miałem do ciebie jechać, ale codzienna porcja ruchu załatwiła sprawę. Ja stawiam sprawy jasno, bo mój czas jest cenny, głównie dla mnie samego. Może cię to wszystko dziwić, o ile kogoś, kto usłyszał, że niedługo umrze, może jeszcze cokolwiek zaskoczyć.

– Wyjątkowo celne są twoje wywody.

– Gwarantuję, że jeszcze ci zbrzydną. Dobra, muszę spadać, bo się zastoję. Masz tu komórkę, zadzwonię do ciebie jutro i powiem, skąd zabierze cię Weronika. – Wręczył mu starego samsunga. – Nie rozładuj go.

– Ale...

– Koniec tego gadania. Do zobaczenia.

– Cześć.

Krzysiek trzasnął się w jeden, a potem w drugi policzek. Nie spał. Przeżegnał się na wszelki wypadek. Babcia mówiła, że jak śni się nam koszmar, trzeba się za wszelką cenę przeżegnać, to odgoni Złego. Był pewien. Nie spał.